

1.

Droga na Nowe Ogrody

Moi rodzice obdarowali mnie swoją miłością, wyposażając w busołę wartości, abym w życiu nie zbłądził. Są dla mnie autorytetem i żywym sumieniem. I jeżeli popełniałem w życiu jakieś błędy czy jeszcze popełnię, to w silnym przeświadczeniu, że wyłączną odpowiedzialność sam ponoszę, bo rodzice mnie szczerze wyposażyli na tę długą i niełatwą drogę życia.

Moje korzenie

Tych parę słów, od których zaczyna się opowieść, zawsze potem rzutuje na całą historię.

Urodziłem się w Gdańsku. To pierwsze zdanie.

Tutaj się wychowałem, studiowałem, ożeniłem, tutaj urodziła się moja córka, tu mieszkam i pracuję. To zdanie następne.

Właściwie można by uznać, że wszystko zostało powiedziane, gdyby nie cała opowieść, która znajduje się pomiędzy tymi dwoma zdaniem...

W roku 1946 przybył z Wilna do Gdańska, wyposażony w „zaświadczenie dla ewakuacji do Polski”, wystawione przez głównego pełnomocnika PKWN, Ryszard Adamowicz, mój ojciec. Razem z nim wagonem towarowym podróżowali jego rodzice i brat, jak wielu im podobnych zmuszeni do opuszczenia swojej zamieszkiwanej od pokoleń ojczyzny i osiedlenia się w nieznanym im wcześniej mieście położonym na brzegu Morza Bałtyckiego u ujścia rzeki Wisły. Pod powiekami nieśli obraz rozświetlonego barokowego miasta, nieporównywalnego z niczym stylu architektury, który bliższy był południu Europy niż jej północno-wschodnim kresom. Przed sobą zobaczyli surowe gotyckie budowle z czerwonej cegły i wypalone ulice Głównego Miasta. Może uwiodła ich uroda pobliskich krajobrazów, może po wielu dniach tułaczki nie mieli siły jechać dalej? Może pamięć o wielonarodowym i wieloreligijnym mieście, grodzie wielkich poetów i patriotów – Wilnie – znalazła tu, w mieście o podobnej tradycji, dobre dla siebie schronienie?

Droga mojej matki Teresy, jej rodziców i sióstr wiodła ze Smorgoń i Nowej Wklejki do Łap, gdzie jeszcze przed wojną skierowany został jej ojciec, kolejarz, poprzez Elbląg... w świat. Z trzech sióstr tylko moja Mama przyjechała do Gdańska, jej siostra Hania osiedliła się w Warszawie, Józefa, druga moja ciotka, mieszka w Kanadzie.

Wychowałem się w domu, w którym silna była pamięć o przeszłości, a przepelnione tęsknotą za rodzinnymi Smorgoniami bajkowe opowieści mojej babki Julii stały się ważną częścią przekazu emocji i pamięci między pokoleniem moich dziadków i rodziców a mną i moim bratem Piotrem. Baśnie i opowieści rodzinne przeplatały się z historią Polski. Wspomnienia o dziadku Kazimierzu, legionście, w sposób naturalny prowadziły do opowieści o mądrości i bohaterstwie Józefa Pił-

sudskiego, który bacznie obserwował mnie i brata z wiszącego na ścianie naszego pokoju portretu, oprawionego w złote, pamiętające przedwojenny Gdańsk ramy.

Wspomnienia Wileńszczyzny były równocześnie niezaplanowaną lekcją otwartości na inne kultury i narody, szacunku dla innych religii i rytuałów. W tych opowieściach moja wyobraźnia wędrowała po uliczkach Trok, pośród domostw karaimów, spotykała babkę Pelagię, prawosławną matkę mojego Ojca, a później jej sąsiadów: Tatarów, Żydów, Rosjan i Białorusinów. W mojej wyobraźni powstawała miniatura nieistniejącej Rzeczypospolitej wielu narodów, języków, smaków i zapachów. To dom, to wychowanie skutecznie uodporniło mnie i Piotra na groźne choroby – nacjonalizm i inne „izmy”. Bliższa nam była Polska Jagiellonów niż propagandowe zaklęcia o państwie jednolitym narodowościowo.

Rodzice pobrali się w roku 1960 i zamieszkali na ulicy Mniszki. Tata Ryszard – ekonomista z wykształcenia – całe życie przepracował w bankowości. Był zawsze społecznikiem, służył pomocą sąsiadom, angażował się w odbudowę kościoła Świętej Katarzyny. Mama, także ekonomistka, pracowała jako księgowa, ale często – ze względu na moje nieustające w dzieciństwie choroby – musiała się mną opiekować. Ze wzruszeniem wspominam częste odwiedziny i troskliwą opiekę Mamy w czasie moich wielomiesięcznych pobytów w szpitalu reumatologicznym w Sopocie. Dziękuję moim lekarzom i pielęgniarkom z tego szpitala, z panią doktor Danutą Zarówny na czele, za prawdziwie troskliwą opiekę. Mimo panujących wówczas trudności z zaopatrzeniem w leki i żywność dokładali wszelkich starań, abym jak najszybciej wracał do zdrowia.

Rodzice nigdy nie wstąpili do PZPR. Utrzymanie rodziny spoczywało głównie na Tacie; często brał do domu dodatkowe

zajęcia i długo w nocy ślęczał nad papierami. To Mama czytała mi pierwsze książki dzieciństwa. Do tej pory pamiętam opowieść Czesława Janczarskiego *Jak Wojtek został strażakiem* i marzenie, żeby być odważnym jak ów książkowy bohater, który ratuje z pożaru niemowlę.

Wychowałem się więc w zwyczajnej, tradycyjnej, skromnej rodzinie. Niezapomnianym widokiem mojego dzieciństwa były wyrastające za oknem pokoju okaleczone gotyckie szczyty kościoła Świętej Brygidy. To one uświadomiły mi rozmiar gdańskiej tragedii wojennej.

W domu było sporo książek – rodzice dużo czytali, przede wszystkim literaturę historyczną i książki pisarzy katolickich, na przykład Gołubiewa czy Brandstaettera, prenumerowali „Tygodnik Powszechny” i „bezpartyjny” „Dziennik Bałtycki”. Widok rodziców czytających zdecydowanie przeważał nad obrazem rodziców oglądających telewizję. Ten nawyk czytania mocno udzielał się nam, dzieciom, a zwłaszcza mojemu bratu Piotrowi – do tego stopnia, że dosłownie pochłaniał kolejne książki. Na porządku dziennym był też rytuał słuchania, za wszelką cenę zamkniętymi oknami i drzwiami, Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki czy BBC.

Rodzice są osobami nie tylko religijnymi, ale też żywo interesującymi się sprawami Kościoła katolickiego. Wydarzenia w Kościele polskim, jak i w powszechnym, zawsze zajmowały ważne miejsce w naszym domu. Śmierć papieża Pawła VI, krótki pontyfikat Jana Pawła I. Pamiętam, jak pewnego razu, przy wspólnej kolacji, w trakcie trwającego już konklawe po śmierci Jana Pawła I, rozmawialiśmy na temat przyszłego papieża. Mama ku zaskoczeniu wszystkich powiedziała z wielkim przekonaniem, że nowym papieżem będzie kardynał Karol Wojtyła. Wiedzieliśmy oczywiście, kto to jest; rok czy dwa

wcześniej był w Gdańsku i odwiedził nawet naszą parafię Świętej Brygidy. Ale nikt nie wziął poważnie tej „przepowiedni”. Jaka była nasza radość i równocześnie zdziwienie, kiedy dzień lub dwa później usłyszeliśmy, że nowym pasterzem Kościoła został nasz rodak. Tamtego wieczora nikt z nas nie był jednak w stanie przewidzieć dalekosiężnych następstw w historii świata, wynikających z wyboru i rozpoczynającego się pontyfikatu Jana Pawła II.

Pod koniec lat siedemdziesiątych mój brat Piotr zaczął przynosić do domu „bibułę”. Stało się tak dzięki kontaktowi z młodym nauczycielem historii w VI Liceum, do którego Piotr uczęszczał. Wkrótce, też za sprawą owego nauczyciela, Aleksandra Halla, trafił do tworzącego się środowiska opozycji demokratycznej – Ruchu Młodej Polski (RMP).

Podobnie jak wielu Polaków naszego pokolenia, brat i ja zostaliśmy więc ukształtowani wbrew obowiązującej historii oficjalnej; od dzieciństwa znaliśmy nie tylko złowrogie brzmienie skrótu gestapo, ale także NKWD; znakomicie rozumieliśmy, co się kryje za nazwami dalekich miejsc: Kazachstan, Syberia, Katyń. Z trudem mieściliśmy się w tym podwójnym świecie, nie dość skłonni do pójścia na kompromis z oficjalną propagandą. Rodzice parę razy musieli wysłuchiwać od nauczycieli i dyrekcji szkoły ostrzeżeń i pouczeń dotyczących brata, który opowiadał o wydarzeniach, jakie oficjalnie nigdy nie miały miejsca.

Dziś z rozbawieniem wspominam swoje wczesne, naiwne zderzenie z oficjalną rzeczywistością. W pierwszych klasach szkoły podstawowej fascynowałem się kształtem naszego godła narodowego. W starych, przedwojennych książkach, na pocztówkach czy w katedrze wawelskiej podziwiałem dumne białe orły ozdobione złotymi królewskimi koronami. Nie da-

wało mi spokoju pytanie, dlaczego nie nosi korony „nasz” orzeł, to znaczy peerelowskie godło. Problem intrygował mnie do tego stopnia, że zapytałem nauczycielkę. Zaskoczona niecodziennym pytaniem, odpowiedziała prosto: „Bo w Polsce nie ma króla!”. To było w drugiej lub trzeciej klasie szkoły podstawowej. Nie przekonało mnie. W zeszytcie do historii stworzyłem całą galerię orłów z różnych epok historycznych Rzeczypospolitej, które wycinałem z miesięcznika „Mówią wieki”. W stanie wojennym, kiedy wszyscy nosili oporniki, ja nosiłem inny mały znaczek – orła w koronie. I ten orzeł w końcu zaprowadził mnie, nieletniego ucznia do zatrzymania przez ZOMO.

Moje dzieciństwo i lata dojrzewania upłynęły w niezwykłej i symbolicznej przestrzeni Gdańska. Codzienną topografię wyznaczały ulice: Świerczewskiego (dziś Nowe Ogrody), gdzie w Szpitalu Wojewódzkim imienia Mikołaja Kopernika się urodziłem, Mniszki, gdzie mieszkaliśmy, Świętojańska i kościół Świętego Mikołaja, gdzie zostałem ochrzczony, Pachółów i Brygidki, gdzie chodziłem do przedszkola państwowego i sióstr zakonnych, Grobla IV, gdzie uczyłem się w Szkole Podstawowej nr 50 imienia Emilii Plater. I znowu Brygidki, gdzie w odbudowywanym na moich oczach i przy moim niewielkim udziale (często nosiliśmy cegły murarzem) kościele Świętej Brygidy przyjąłem pierwszą Komunię świętą, byłem bierzmowany, ślubowałem mojej żonie Magdalenie i gdzie ochrzciliśmy naszą córkę Antoninę. Na Wałach Piastowskich, po których w grudniu 1970 szedł zbuntowany tłum stoczniovców, mieściło się moje I Liceum Ogólnokształcące imienia Mikołaja Kopernika. Tu zdałem maturę w roku 1984 – naznaczonym symbolicznie przez George’a Orwella. Następne lata otwierały przede mną kolejne ulice mojego miasta, place, podwórka, ko-

ścioly i ratusze, oswajały z przestrzenią Starego i Głównego Miasta, a potem dalej położonych dzielnic.

Moja „Solidarność”

Strajk w Stoczni Gdańskiej imienia Lenina w sierpniu 1980 roku obserwowałem na ekranie telewizora mojej ciotki w Kanadzie. Miałem piętnaście lat, mój sposób myślenia, moje wyobrażenie o świecie doznały prawdziwego szoku podczas dwóch miesięcy pobytu w kraju klonowego liścia. I nie chodziło tu wyłącznie o fasadę materialną – autostrady, duże samochody, czy supermarkety, zupełnie inne niż w moim kraju. Największy wstrząs przeżyłem, gdy w amerykańskiej i kanadyjskiej telewizji zobaczyłem moje miasto, znajome twarze, Gdańsk, Stocznnię i bramę stoczniową pełną kwiatów, portretów papieża, z widocznym krzyżem. Ale wtedy jeszcze nie uświadamiałem sobie, że Gdańsk na dobre wkroczył do historii światowej.

Wróciłem do Gdańska dwa dni przed podpisaniem historycznego porozumienia 31 sierpnia. Przywiozłem z Kanady skarb, najdroższy osobisty zakup, wydaną przez paryską „Kulturę” książkę Bronisława Krzyżanowskiego *Matecznik wileński*, którą kupiłem za niebywałą jak na tamte czasy kwotę dwudziestu dolarów kanadyjskich.

Mój brat Piotr uczestniczył w strajku w Stoczni jako osoba wspierająca. Po zarejestrowaniu NSZZ „Solidarność” aż do wprowadzenia stanu wojennego w 1981 roku pracował w sekretariacie Komisji Krajowej.

Szesnaście miesięcy legalnej działalności „Solidarności”, zwane karnawalem wolności, przyspieszyło mój rozwój intelektualny. Uczestniczyłem w licznych debatach publicznych,

dyskusjach i wiecach. Niemal każdy tydzień przynosił nowe wydarzenia, które zmuszały do zajęcia stanowiska, do opowiedzenia się po którejś ze stron konfliktu. Wśród moich szkolnych kolegów byli też przeciwnicy nowej siły społecznej, co wzbudzało namiętne spory. Nieustannie musiałem szukać argumentów, nowych, lepszych, trafniejszych, aby przekonać adwersarzy.

Oddychałem pełną piersią. Oczywiście byłem tylko obserwatorem wypadków, zbyt młodym na członkostwo w „Solidarności”, ale w pamięci zapisywały się kolejne wydarzenia: kryzys bydgoski z Janem Rulewskim, strajki studenckie, strajk w Szkole Pożarnictwa i szczególnie przejmujące dla mnie przeżycie, jakim była pełna powagi uroczystość odsłonięcia i poświęcenia Pomnika Poległych Stoczniowców 16 grudnia 1980 roku. Nastrój tej chwili był niezwykły: mróz, ciemności, nieprzebrane tłumny gdańszczan i ludzi z całej Polski; Daniel Olbrychski odczytujący apel poległych...

Wprowadzenie stanu wojennego jeszcze bardziej przyspieszyło moje dojrzewanie. Jak wielu rówieśników, 13 grudnia 1981 poczułem się jakby powołany do służby, do konspiracji. Dłużej nie można było pozostać tylko obserwatorem. Ojczyzna domagała się czynu.

Nikt nam niczego nie kazał. Nikt nie przydzielał zadań i nie rozliczał. Nikt nie obiecywał awansu i pomocy w karierze. Wielu podobnych do mnie nastolatków czuło ten sam nakaz wewnętrzny. Nie byliśmy szkoleni w konspiracji, z kolei drogą prób i błędów każdy podejmował działanie na swoją miarę. Na wagę złota były maszyny do pisania, papier, farba drukarska. Słowo bowiem, wolne słowo drukowane, stało się pokojowym orężem, który mobilizował do oporu, krzepił wątpiących i zachęcał do ulicznych demonstracji.

Na początku stycznia 1982 mój dwudziestojednoletni wówczas brat Piotr został zatrzymany na ulicy przez patrol ZOMO i internowany – najpierw w więzieniu w Iławie, a później w Kwidzynie. Mama mężnie znosiła jego aresztowanie.

Pamiętam, jak w tym czasie razem ze Sławkiem Suchodolskim, kolegą z I Liceum (dziś nauczycielem w tej szkole), zaczęliśmy wystukiwać na maszynie do pisania ulotki wzywające do oporu. Dopiero później przyszły bardziej zaawansowane techniki drukarskie – matryce białkowe, farba i rama obciążona materiałem z flanelowej koszuli Taty.

Nasza mała konspiracja odbywała się w tajemnicy przed zatrwożonymi o nasz los rodzicami. Braliśmy udział w demonstracjach i walkach ulicznych z ZOMO tuż obok mojego liceum, na placu Gorkiego przed Dworcem PKP (dziś City Forum), na placu Heweliusza (dziś Centrum Madison), na Hucisku i Wąłach Jagiellońskich.

W szkole organizowaliśmy przerwy milczenia, ubieraliśmy się na czarno, wpinaliśmy na piersi oporniki, masowo wykupywane ze sklepów z akcesoriami elektrycznymi. Ja dumnie nosiłem znaczek orła w koronie do momentu, gdy 2 maja 1982 po raz pierwszy zatrzymała mnie milicja. Miałem wtedy niespełna siedemnaście lat. Rodzice po wielu godzinach wędrówek od komisariatu do komisariatu w końcu znaleźli mnie w Nowym Porcie. Zahartował mnie ten areszt. Liczyłem się z tym, że wcześniej czy później może mnie zatrzymać MO, ale jednocześnie bałem się jak wszyscy. Musiałem ten strach przeżyć i nie odpowiadać na pytania przesłuchujących. Pomocą i instruktążem okazał się *Mały konspirator* autorstwa Macieja Poleskiego (pseudonim Czesława Bieleckiego).

W liceum miałem szczęście spotkać fantastyczną nauczycielkę historii, Teresę Trzebiatowską (jednocześnie szefową „So-

lidarności”), która odkryła przede mną wielu znakomitych historyków, takich jak Władysław Konopczyński czy Szymon Askenazy, ucząc jednocześnie krytycznego i dojrzałego myślenia. Wdzięczny jestem także mojemu wychowawcy, Jackowi Blijowi, za pomoc i przyjaźń, którą wówczas mnie, młodego człowieka, obdarzył.

W szkolnym tłumie szybko odnajdywali się ci, którzy postanowili aktywnie przeciwstawić się WRON-iej. W styczniu 1984 Piotr Sernicki, Jarosław Pieńkowski i ja zaczęliśmy wydawać „Jedynkę”, nielegalną gazetkę I LO. Byliśmy jednocześnie redaktorami, drukarzami i kolporterami. Wkrótce dołączyli do nas Leszek Borawski i Sławomir Berbec. Podążaliśmy tropem grupy Krzysztofa Skiby (dzisiaj lidera zespołu Big Cyc), wówczas tworzącej Ruch Społeczeństwa Alternatywnego i wydającej programowe pismo „Homek”. To oni umożliwili nam zakup matryc, nieosiągalnych na legalnym rynku i podarowali wałek drukarski.

W czasie studiów na Uniwersytecie Gdańskim (1984–1989) kontynuowałem nielegalną działalność. Razem z bratem Piotrem przemierzaliśmy pociągami trasy od Lublina, przez Kraków i Warszawę, do Gdańska, dźwigając wielkie plecaki wypełnione książkami i gazetami. W tym czasie sam też składałem i drukowałem książki, a z Maciejem Żakiewiczem, Wojciechem Kreftem i Arkadiuszem Staniszewskim (dziś adiunktem w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych) wydawaliśmy nielegalne pismo studentów UG „ABC”. Było to możliwe dzięki pomocy nieżyjącego już księdza Kazimierza Filipiaka, który pozwolił nam wstawić powielacz na strych kaplicy cudownego obrazu

MAJ 1970

RAZEM ZE STARSZYM BRATEM PIOTREM SFOTOGRAFOWALIŚMY
SIĘ PRZY POMNIKU SOBIESKIEGO
FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Matki Boskiej ze Stanisławowa przy kościele Świętego Piotra i Pawła.

Na pierwszym roku studiów zaangażowałem się w działalność samorządową studentów. Zdążyłem nawet zostać legalnie wybrany w wolnych wyborach do Rady Wydziału Prawa i Administracji jako przedstawiciel Samorządu Studentów. Nie trwało to długo, bo mimo ograniczeń samorządność studentów niepokoiła reżim komunistyczny i została zlikwidowana.

Prawdziwie wielkim wstrząsem było dla mnie uprowadzenie i zamordowanie w październiku 1984 roku księdza Jerzego Popiełuszki. Razem z Mamą pojechaliśmy do Warszawy na jego pogrzeb. Wiele godzin nocnych spędziliśmy w długiej kolejce, aby pomodlić się nad trumną. Śledziłem bacznie relacje z procesu zabójców księdza Jerzego. Pierwszy raz tak mocno odczułem bezsilność wobec zła.

Studia były dla mnie czasem intensywnego rozwoju intelektualnego; poza nauką bardzo dużo czytałem; angażowałem się w debaty w Duszpasterstwie Akademickim ojców dominikanów „Na Górcze” i w warszawskim Klubie Politycznym „Dziekania”. Pasjonowałem się fenomenem tworzenia i funkcjonowania środowisk ideowo-politycznych w Polsce: Komitetu Obrony Robotników i Ruchu Młodej Polski. Ważne były dla mnie osobiste spotkania i publikowane później, między innymi na łamach „ABC”, wywiady z niektórymi współtwórcami i uczestnikami tych środowisk. Dzięki kontaktom brata poznałem Antoniego Macierewicza (w czasie internowania Piotr przez kilka miesięcy dzielił z nim celę więzienną). To była pasjonująca, długa rozmowa o prapoczątkach KOR.

LATA SIEDEMDZIESIĄTE

MOI RODZICE, TATA RYSZARD I MAMA TERESA, CIOCIA ANNA,

PIOTR I JA, SIEDZI BABCIA JULIA

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Jednocześnie odkryłem książkę Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*, która wywarła na mnie wielki wpływ. Czuję się, jakbym w opisywanych losach odnalazł swoich antenatów, jakbym znalazł potwierdzenie dla swoich wyborów. Dzięki znajomości z Aleksandrem Hallem miałem szczęście wiele godzin rozmawiać ze Stefanem Kisielewskim czy z Januszem Szpotańskim. W salonie politycznym państwa Musidłowskich w Sopocie przysłuchiwałem się dyskusjom politycznym z udziałem Aleksandra Halla, Lecha Kaczyńskiego, Janusza Lewandowskiego, Donalda Tuska, Jacka Merkla czy Bogdana Borusewicza.

Nauka, egzaminy (bywało, że oblewane, zdawane po poprawkach) i zaliczenia splecione były z działalnością konspiracyjną. Dzięki niezależnemu obiegowi wydawniczemu poznawałem niedostępne legalnie dzieła współczesnych myślicieli politycznych i filozoficznych: Friedricha Hayeka, Rose'a Friedmana, Hannah Arendt, Karla Poppera, Alana Besançona, Zbigniewa Brzezińskiego, Leszka Kołakowskiego. Odkryłem prace Alexis de Tocqueville'a, z fundamentalnym dziełem *O demokracji w Ameryce*. Od tej pory problematyka społeczeństwa obywatelskiego, relacji państwo–obywatel, aktywności i bierności obywatelskiej stała się moją nieskrywaną pasją. Nawet pracę magisterską napisałem o „Społeczeństwie obywatelskim i państwie politycznym w filozofii Karola Marksa”.

Zaczytywałem się zarówno w wychodzących poza cenzurą pismach, takich jak „Polityka Polska” (wywodząca się ze środowiska Ruchu Młodej Polski), „Przegląd Polityczny” (środowisko gdańskich liberałów), „Krytyka”, „Arka”, jak i w legalnie wydawanym „Znaku”, „ResPublice” czy „Powściągliwości i Pracy”. Wiele artykułów i książek stanowiło wtedy przedmiot spontanicznych, prowadzonych z pasją rozmów towarzy-

skich. Reformy gospodarcze we Francji czy USA, opisywane przez Guya Sormana w kolejnych książkach, były źródłem naszej fascynacji.

Pamiętam prowadzone w gronie przyjaciół gorące dyskusje nad książką Michaela Novaka *Duch demokratycznego kapitalizmu*. Czy można pogodzić liberalizm z chrześcijaństwem, naukę papieża z kapitalizmem, wolność z równością? Te i inne dysputy nad zasadniczymi kwestiami, wsparte lekturami, ukształtowały moje poglądy polityczne i ideowe. Tamte, wydawałoby się, dość oderwane od rzeczywistości PRL dyskusje – jak się później okazało – powróciły ze zwielokrotnioną siłą w wolnej Polsce w latach dziewięćdziesiątych i w pierwszych latach nowego tysiąclecia.

Od pierwszego roku studiów pracowałem fizycznie w gdańskich stoczniach na zlecenie studenckiej Spółdzielni Techno-Service. Pieniądze potrzebne były na działalność antyrządową, chciałem też zdjąć chociaż część ciężaru z rodziców. Na trzecim roku studiów podjąłem pierwsze zajęcie na umowę o pracę – było to pół etatu stróża nocnego w Gdańskim Towarzystwie Naukowym przy ulicy Grodzkiej. W ten sposób zapewniłem sobie niewielkie, ale stałe dochody i zacząłem mozolnie wypracowywać tak zwany staż.

Mimo wykruszania się chętnych do pracy konspiracyjnej, mimo ogólnej apatii i bierności, w poczuciu obowiązku wobec idei solidarności (zainspirowany przez Tatę) przez całe studia kontynuowałem działalność. Prawdziwym przełomem stał się strajk studencki na Uniwersytecie Gdańskim w maju 1988 roku, który wybuchł na znak solidarności ze strajkującą Stoczną Gdańską. Chcieliśmy mieć – my, ostatni rocznik solidarnościowej młodzieży – „nasz sierpień”, zdać egzamin z ideowości i oddania Sprawie. Grupa studentów inicjująca strajk,

związana głównie z nielegalnym Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, wybrała mnie na przewodniczącego Studenckiego Komitetu Strajkowego. Przewodzenie strajkowi zmusiło mnie, osobnika raczej nieśmiałego, do aktywności publicznej. Musiałem przemóc lęk, stanąć przed setkami studentów i przemawiać, by podtrzymywać wolę sprzeciwu i motywować do strajku. Pierwszy raz w życiu doświadczyłem nieznośnego ciężaru odpowiedzialności nie tylko za siebie i swój los, ale również za innych.

Następny, sierpniowy strajk w Stoczni Gdańskiej zaczął się dla mnie pechowo. Zatrzymany przez milicję, spędziłem czterdzieści osiem godzin w areszcie Komendy Miejskiej przy Świerczewskiego. Po wyjściu włączyłem się w pomoc strajkującym. Ale i ten strajk zakończył się bez wyraźnego sukcesu politycznego, choć jak się okazało, rozpoczął drogę do prawdziwej zmiany, jaka dokonana się w roku 1989. Nikt z nas nie spodziewał się wtedy, że rok później historia gwałtownie przyspieszy: obrady Okrągłego Stołu, wybory czerwcowe do Sejmu i Senatu oraz powstanie pierwszego niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego.

W gorącym i przełomowym lecie roku 1989 z wielkim trudem skupiałem się na zdaniu ostatnich egzaminów i napisaniu pracy magisterskiej. Stan euforii na przemian z poczuciem niepewności, czy uda się nam, Polakom, powrót legalnej „Solidarności”, zajmował moje myśli i uskrzydlał.

Stan wojenny dla mnie, jak i wielu innych, stał się motywacją do aktywności obywatelskiej, do podejmowania ryzyka, do mierzenia się z rzeczywistością Polski niesuwerennej. Byłem tylko szeregowym uczestnikiem tego ruchu, nieustająco jednak odczuwałem istnienie wielkiej wspólnoty ludzi mi podobnych. Dlatego „Solidarność” uważam za najważniejsze prze-

życie pokoleniowe, które pozwoliło mi dojrzeć i ukształtowało mój charakter.

Jak zostałem samorządowcem

Już działał rząd Tadeusza Mazowieckiego, kiedy obroniłem pracę magisterską na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Promotor mojej pracy, profesor Andrzej Sylwestrzak, zaproponował mi stanowisko asystenta w Katedrze Historii Państwa i Prawa Polskiego. Przyjąłem tę ofertę z radością, ponieważ dawała mi możliwość rozwoju intelektualnego i przedłużała funkcjonowanie w środowisku akademickim. Rozpocząłem działalność dydaktyczną, prowadząc ćwiczenia ze studentami.

W tym samym czasie w powtórnie zalegalizowanej „Solidarności” i w nowym rządzie pracę podjęło wielu moich znajomych z opozycji demokratycznej. Pojawiła się pokusa, by wskoczyć do tego „pociągu do Warszawy”. Aleksander Hall, który został członkiem Rady Ministrów, zaproponował mi pracę w nowo kształtujących się strukturach rządu. Byłem (i jestem) wdzięczny Olkowi za zaufanie i pamięć o świeżo upieczonym magistrze prawa. Ale odmówiłem. Czułem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć i zdobyć doświadczenie zawodowe i życiowe.

Zacząłem pracować na pół etatu w Wojewódzkim Biurze Poselsko-Senatorskim Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Zająłem miejsce zwolnione przez Tomasza Posadzkiego (Prezydent Gdańska w latach 1994–1998), starszego kolegi ze studiów, który właśnie rozpoczął aplikację adwokacką. Moim szefem był Jacek Starościak (późniejszy pierwszy demokratycz-

nie wybrany Prezydent Gdańska). Jako sekretarz Rady Porozumienia KO „S” pracowałem dla posłów i senatorów (między innymi Bogdana Lisa i Lecha Kaczyńskiego) oraz wspierałem i utrzymywałem kontakty z Komitetami Obywatelskimi „Solidarności” w województwie gdańskim. Przyjmowałem skargi mieszkańców na administrację, postulaty do rządu, wyjaśniałem przepisy prawne, prowadziłem korespondencję. W czasie pracy biura OKP odebrałem bardzo dobrą szkołę życia politycznego i społecznego. Poznałem wielu polityków solidarnościowych, o których wcześniej tylko słyszałem.

Jednym z ważnych zadań władzy solidarnościowej było odbudowanie podmiotowości społeczności lokalnych poprzez przywrócenie zniszczonego przez komunistów samorządu terytorialnego. Powstałe przed wyborami do Sejmu i Senatu Komitety Obywatelskie „Solidarności” stały się naturalnymi ośrodkami skupiającymi aktywnych obywateli o antykomunistycznych przekonaniach.

Początki były niełatwe. Brakowało doświadczenia, wiedzy i – co niezmiernie ważne – tradycji samorządowej. Wszyscy się uczyli, rosło zapotrzebowanie na szkolenia i wykłady. Takiej otwartości, pędu do nauki, entuzjazmu i autentycznej troski o dobro wspólne już nigdy później nie doświadczyłem. Za namową mojego uniwersyteckiego nauczyciela prawa konstytucyjnego, Lecha Mażewskiego, przygotowałem i rozpocząłem cykl wykładów na temat samorządu terytorialnego dla działaczy Komitetów Obywatelskich. Oczywiście, muszę szczerze przyznać, moja wiedza na początku była dość skromna. Najpierw po nocach studiowałem wszystkie książki na temat samorządności, które były dostępne w gdańskich bibliotekach (nie było jeszcze internetu). Czytałem od deski do deski nowo powstały, poświęcony samorządności tygodnik „Wspólnota” oraz

broszury wydawane przez nieocenioną Fundację Rozwoju Demokracji Lokalnej, powołaną przez profesora Zbigniewa Re-gulskiego. Poznawałem też kolejne wersje projektów ustawy o samorządzie terytorialnym. Od jesieni 1989 do wiosny 1990 niosłem kaganek wiedzy samorządowej od Gdańska, poprzez Tczew, Kartuzy, Chmielno, Wejherowo, Lębork, Bytów, Słupsk, nawet do najmniejszej gminy, jaką był Osiek. Pomagałem w przy-gotowywaniu lokalnych programów i kampanii wyborczych. Spotkałem wielu entuzjastów samorządności, którzy do tej pory aktywnie działają.

Sam nie zamierzałem kandydować na radnego, chciałem realizować moje akademickie ambicje. Chciałem być doradcą, służyć pomocą, ale bez angażowania się w struktury samorzą-dowe. Tymczasem w mojej dzielnicy – Starym Mieście – rów-nież powstał Komitet Obywatelski. Udzielali się w nim między innymi moi sąsiedzi. Omawiali plany remontów domów, zamartwiali się przeciekającymi dachami, ale przede wszystkim przygotowywali się do nadchodzących wyborów.

Pewnego dnia moja Mama, wynosząc śmieci, spotkała pa-nią Amelię Dolecką z ulicy Mniszki. Sąsiadka oświadczyła, że razem z Zosią Rogozą zgłosiły syna (to znaczy mnie) jako kan-dydata na radnego ze Starego Miasta. Argumentowały, że po-winienem kontynuować działalność społeczną z czasów walki podziemnej i włączyć się w budowę samorządności lokalnej. I to właśnie te dwie panie poruszyły skutecznie struny mojej wrażliwości i poczucia obowiązku.

27 maja 1990 roku mieszkańcy Śródmieścia Gdańska wy-brali mnie (z trzeciego miejsca na liście) na radnego. Listę otwierał Andrzej Januszajtis. Zebrałem 2102 głosy i w wieku dwudziestu pięciu lat zostałem najmłodszym radnym Gdań-ska. Wdzięczny jestem pani Zofii Rogozie i ś.p. pani Amelii

Doleckiej za ich namowę. Za sprawą tej małej wspólnoty sąsiedzkiej zostałem samorządowcem.

W nowo wybranej sześćdziesięcioosobowej Radzie Miasta Gdańska większość, bo aż pięćdziesiąt dziewięć miejsc, zdobyli kandydaci KO „S”; jedno miejsce przypadło przedstawicielowi centroprawicowego „Sojuszu na rzecz Gdańska”, znanemu piekarzowi, Andrzejowi Szydłowskiemu. Byłem jedynym radnym z wykształceniem prawniczym. W trakcie budowania od podstaw instytucji demokratycznych, przy tworzeniu reguł i zasad ja, magister prawa zaledwie od roku, nieustannie byłem angażowany do nowych przedsięwzięć. Zostałem wybrany na przewodniczącego komisji opracowującej Statut Miasta Gdańska. Później dodatkowo zostałem wybrany na przewodniczącego komisji samorządu, która między innymi opracowywała zasady tworzenia rad dzielnic, czyli samorządu mieszkańców. Niestety obecnie, po osiemnastu latach, w sejmie i w radach miejskich nadal nie ma zbyt wielu prawników, co niesie ze sobą znane wszystkim efekty, podczas gdy w USA stanowią oni większość w gremiach samorządowych i w Izbie Reprezentantów.

Odczuwałem wówczas wielką satysfakcję z obranego kierunku studiów – prawa. Początkowo chciałem naturalnie studiować historię, jak mój brat. Ale po rodzinnych dyskusjach i chłodnej argumentacji naszej sąsiadki, pani Pelagii Bogusz – „Po co dwóch historyków w rodzinie? Po prawie będzie miał więcej szans na pracę” – ostatecznie wybrałem prawo.

Zostałem także delegatem Gdańska do Sejmiku Samorządowego Województwa Gdańskiego, gdzie również odczuwalny był deficyt prawników. Wybrano mnie więc na wiceprzewodniczącego Sejmiku, którego szefem był Grzegorz Grzelak, dawny działacz RMP i „Solidarności”. Wspominam do dziś,

jak prowadziłem niełatwe posiedzenia, na których dwukrotnie opiniowano kandydatury Macieja Płażyńskiego na wojewodę gdańskiego oraz Józefa Borzyszkowskiego na wicewojewodę. W myśl zasady, że dałeś się poznać z nie najgorszej strony, delegaci do sejmiku poprosili mnie, abym zorganizował prace Kolegium Odwoławczego (instancji odwoławczej od decyzji administracyjnych podejmowanych przez wójtów, burmistrzów i prezydentów). Raptem ja, dwudziestopięcioletni pracownik dydaktyczny, stanąłem przed wyzwaniem zbudowania nowej instytucji. Kierując się zdrowym rozsądkiem i zaufaniem do ludzi, powoli kompletowałem zespół etatowych pracowników Kolegium spośród pracowników Urzędu Wojewódzkiego; zaprosiłem też do współpracy szerokie grono radców prawnych i prawników z Uniwersytetu Gdańskiego jako tak zwanych nietatowych członków Kolegium (ich jedynym wynagrodzeniem były diety).

To był moment, kiedy doceniłem znaczenie praktyk odbywanych w czasie studiów w sądach oraz wiedzę z zakresu prawa administracyjnego, zdobytą na wykładach profesora Eugeniusza Bojanowskiego. Mimo wątpliwości i rozterek towarzyszących objęciu funkcji przewodniczącego Kolegium Odwoławczego podjąłem to nowe wyzwanie. Nic tak bowiem nie uczy i nie wzmacnia, jak poważne i nowe zadania.

W niedługi czas potem okazało się, że w pamiętnym i przełomowym roku 1990 miało mnie spotkać jeszcze jedno niezaplanowane wyzwanie, które zmusiło mnie do ograniczenia szerokiej do tej pory aktywności zawodowej. 19 listopada 1990 Uczelniane Kolegium Elektorów na wniosek nowo wybranego Rektora Uniwersytetu Gdańskiego, profesora Zbigniewa Grzonki, pierwszy raz w historii szkół wyższych w Polsce wybrało asystenta na prorektora UG ds. studenckich. Był to dość eks-

trawagancki eksperyment. Po latach dowiedziałem się od rektora Grzonki, że uwagę na mnie zwrócił i zasugerował jako kandydata na prorektora ds. studenckich profesor Czesław Jackowiak, znawca prawa pracy i rektor UG poprzedniej kadencji. Nieżyjącego już profesora Jackowiaka wspominam z życzliwością jako odpowiedzialnego i partnerskiego rektora, który sprawował swą funkcję w trudnym politycznie 1988 roku i z którym w imieniu studentów prowadziłem negocjacje w czasie strajku.

Niespełna dwa lata wcześniej występowałem przeciw porządkowi panującemu na uczelni, współorganizując i przewodząc strajkowi studentów, a teraz stałem się częścią władzy rektorskiej. To mogło się wydarzyć tylko w pełnym zmian i entuzjazmu roku 1990. Po wyborze na prorektora trudno było pogodzić wszystkie dotychczasowe formy aktywności. Zrezygnowałem z pracy w biurze parlamentarnym i w Gdańskim Towarzystwie Naukowym. Prowadzenie Samorządowego Kolegium Odwoławczego przy Sejmiku przejęła ode mnie Dorota Jurewicz (do tej pory skutecznie wykonuje te obowiązki), rozstałem się również z pracą w prezydium Sejmiku Województwa Gdańskiego.

Trzy lata pełnienia funkcji prorektora dały mi nowe doświadczenia i nowe umiejętności. Po pierwsze, doświadczyłem pracy w zespole, w której szef – rektor – wyznaczał strategię działania, a poszczególni współpracownicy i podwładni – proktorzy – realizowali ją w zakresie powierzonych im kompetencji. Rektor Grzonka, którego wcześniej bliżej nie znałem, okazał się szefem bardzo pracowitym i konkretnym. Do bliższych i dalszych współpracowników odnosił się z taktem i szacunkiem, ale bez nadmiernej poufałości. Ujął mnie swoją prostolinijnością, rzetelnością i otwartością na nowe pomysły.

Nigdy nie dostrzegłem w nim nawet cienia megalomanii i wyniosłości, która nierzadko występuje na różnych szczytach administracji. Drzwi jego gabinetu zawsze były otwarte dla współpracowników pragnących podzielić się swoimi troskami i zasięgnąć porady.

Mimo mojego młodego wieku i niskiego statusu akademickiego (byłem rok po magisterium, podczas gdy w poprzednich ekipach wszyscy prorektorzy byli co najmniej doktorami habilitowanymi) rektor Grzonka traktował mnie, podobnie jak pozostałych prorektorów – profesorów – jak partnera. Dodatkowym atutem tego doświadczenia była zasada obowiązująca na kolegiach rektorskich, gdzie w odróżnieniu od zbytnej spontaniczności i gadulstwa, które panowały w Radzie Miasta i w Sejmiku Wojewódzkim, realizowano reżim planowania działań, dobrego przygotowania spotkań, szukania optymalnych rozwiązań, przy jednoczesnym trzymaniu się dyscypliny minimalizacji kosztów. Poza rektorem Grzonką również pozostali prorektorzy byli prawdziwymi osobowościami. Z jednej strony socjolog i Kaszub, przemiły i kompetentny profesor Brunon Synak (dziś przewodniczący Sejmiku Województwa Pomorskiego), z drugiej profesor Maciej Żylicz, wybitny biochemik i pierwszy szef „Solidarności” na Uniwersytecie Gdańskim (dziś prezes Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w Warszawie). Wiele zawdzięczam im oraz innym profesorom. Praktyka, której doświadczałem, potwierdzała zasadę, że najważniejsze jest, by na drodze życia spotykać ludzi mądrzejszych od siebie.

Jako prorektor ds. studenckich konsultowałem ze studentami nowy regulamin stypendialny i zasady przydzielania miejsc w akademikach, negocjowałem wysokość i formy pomocy socjalnej. Przyjmowałem na dyżurach, w trybie odwołań, studen-

tów niezadowolonych z decyzji dziekanów. Niejednokrotnie musiałem spotykać się z płaczącymi, podenerwowanymi albo zachowującymi się agresywnie studentami. Nie było to łatwe, ale dzięki temu rozwijałem w sobie zdolności empatyczne na przemian z asertywnością.

W 1992 roku namówiłem ówczesnego prezydenta Gdańska, Franciszka Jamroża, do stworzenia nowego systemu stypendiów dla najlepiej uczących się studentów Uniwersytetu Gdańskiego. Jestem dumny, że udało mi się zbudować dodatkowy system stypendialny, oparty na budżecie miasta. Później hojne władze Gdańska rozszerzyły ten program stypendialny na studentów wszystkich gdańskich uczelni – system działa do dziś.

Pełniąc funkcję prorektora, prowadziłem zajęcia ze studentami, wypełniałem obowiązki radnego Gdańska i delegata do sejmiku województwa. Wymagało to ode mnie nieustannej pracy nad zarządzaniem swoim czasem, by skutecznie pogodzić wiele obowiązków.

W czerwcu 1994 roku gdańszczanie wybrali mnie powtórnie na radnego. Kandydowałem z Komitetu Wyborczego Unia Wolności – Partia Konserwatywna. Na podstawie ustaleń koalicyjnych zostałem wybrany na przewodniczącego Rady Miasta Gdańska. Obejmowałem tę zaszczytną funkcję jako trzeci z kolei w krótkiej historii odrodzonego gdańskiego samorządu, po Franciszku Jamrożu i Andrzeju Januszajtisie.

Okres przewodzenia Radzie Miasta (1994–1998) to kolejny ważny – po studenckim strajku w maju 1988, pracy w sejmiku i w Radzie pierwszej kadencji oraz pracy prorektora Uniwersytetu Gdańskiego – etap zdobywania doświadczenia w samodzielnym działaniu. Przejmując przewodzenie Radzie, postawiłem sobie za cel konsekwentne budowanie godności i po-

zycji organu przedstawicielskiego w relacji z mieszkańcami i zarządem miasta – organem wykonawczym.

W odróżnieniu od demokracji lokalnych miast Europy Zachodniej, cechujących się nieprzerwaną ciągłością instytucjonalną i nawarstwiającą się przez wieki tradycją i rytuałem zakorzenionym w świadomości obywateli, w Polsce i w Gdańsku musieliśmy od podstaw budować tożsamość samorządu miejskiego. Oczywiście jesteśmy dumni z przeszłości miasta i odwołujemy się do tradycji gdańskiego samorządu, sięgającej pierwszej Rzeczypospolitej, ale ze względu na przerwana ciągłość i upływ czasu ma to znaczenie czysto symboliczne.

Rada Miasta musi nieprzerwanie, celowo i planowo budować swoją obecność w świadomości obywateli, nie tylko poprzez rutynowo podejmowane uchwały, ale także poprzez budowanie wzorców społecznych, honorowanie osób i instytucji zasłużonych dla miasta. To niełatwe zadanie, zwłaszcza że musi być realizowane przez ciało liczne, kolegialne, w którym obecni są radni o różnym stopniu wyrobienia społecznego, różnym wykształceniu, wywodzący się z różnych formacji kulturowych. W takiej złożonej sytuacji kluczowa rola przypada przewodniczącemu Rady i niesłuchanie istotny staje się styl przywództwa, jaki on proponuje.

Zaproponowałem Radzie Miasta Gdańska – oprócz reaktywowanego w 1993 roku tytułu Honorowego Obywatela Gdańska – przyznawanie medali Świętego Wojciecha i księcia Mściwoja II. Wybór patrona pierwszego medalu, przyznawanego za zasługi dla Gdańska na arenie międzynarodowej, świętego i biskupa praskiego, chrzciciela Gdańska, wydawał mi się naturalny. Natomiast obierając za patrona drugiego medalu ważnego władcę dynastii gdańsko-pomorskiej, chciałem przywrócić pamięci gdańszczyzn historyczny układ z Kępna, na którego

mocy w roku 1282 Mściwój II (nie mając męskiego potomka) przekazał Gdańsk i całe Księstwo Pomorskie we władanie Przemysławowi Wielkopolskiemu, co dało podstawę do jego koronacji na króla Polski. Medale cieszą się dużym uznaniem, a Rada Miasta już od dziesięciu lat wyróżnia wybitne osobistości. Ceremoniał im towarzyszący, który osobiście opracowałem, przyjął się i jest stosowany do tej pory.

Centralnym punktem kadencji Rady Miasta pod moim przewodnictwem były jednak obchody tysiąclecia najstarszej pisemnej wzmianki o Gdańsku, które przypadły na rok 1997. Inauguracja roku jubileuszowego Gdańska odbyła się 1 stycznia 1997 w Watykanie, w czasie noworocznej mszy świętej odprawionej w bazylice Świętego Piotra pod przewodnictwem Ojca Świętego Jana Pawła II. To wielka zasługa księdza arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego, że doprowadził do tej niezapomnianej i historycznej uroczystości. Każda wspólnota potrzebuje autorytetu i duchowego przywódcy, którym dla Gdańska przełomu tysiącleci był arcybiskup Gocłowski. Przez niespełna trzydzieści lat swojej pracy w naszym mieście i diecezji motywował, tworzył, wspierał, inspirował, radził i komentował rzeczywistość. Wiele mu zawdzięczam, wiele zawdzięczają mu gdańszczanie.

Rada Miasta zorganizowała uroczystą sesję inaugurującą obchody tysiąclecia. W porozumieniu z arcybiskupem Gocłowskim zabiegałem o obecność na uroczystej mszy świętej i sesji Rady księdza prymasa Józefa Glempa i nuncjusza Stolicy Apostolskiej księdza arcybiskupa Józefa Kowalczyka. Jednak największym wyzwaniem stało się ustalenie listy gości świeckich. Stałem przed wyborem politycznym i ideowo-historycznym. Naturalne było, by na uroczystość zaprosić głowę państwa – ranga Gdańska i jubileuszu domagała się tego. Byłem jednak świadomy napięcia, jakie istniało między pierwszym prezyden-

tem RP Lechem Wałęsą a jego następcą Aleksandrem Kwaśniewskim. Rządzącej wówczas w kraju i województwie gdańskim lewicy zależało na mocnym wyeksponowaniu obecności prezydenta Kwaśniewskiego w obchodach tysiąclecia solidarnościowego Gdańska. Jednak prezydent Lech Wałęsa odmawiał uczestnictwa w uroczystościach, w których udział weźmie prezydent Kwaśniewski. Wielu radziło mi, by Wałęsę zaprosić tylko na uroczystą mszę świętą do Bazyliki Mariackiej, a Kwaśniewskiego na uroczystości świeckie – sesję Rady Miasta. Ujawnili się też liczni i głośni oponenci prezydenta Kwaśniewskiego, wzywający mnie i prezydenta miasta Tomasza Posadzkiego do całkowitego zamknięcia bram Gdańska dla urzędującego prezydenta RP.

Decyzja należała do mnie, jako gospodarza uroczystości. Są takie momenty, kiedy presja mediów, polityków i opinii publicznej jest trudna do zniesienia. To była taka chwila. Na kilka dni przed obchodami do Gdańska przyjechała szefowa Kancelarii Prezydenta Kwaśniewskiego, pani Danuta Waniek. Chciała mnie przekonać do zaproszenia Aleksandra Kwaśniewskiego na sesję Rady Miasta. A ja od początku wiedziałem, że dla Gdańska najważniejszy jest najsłynniejszy gdańszczanin, Lech Wałęsa. I to on powinien być głównym gościem uroczystego posiedzenia Rady Miasta. Dlatego nie wysłałem zaproszenia do Prezydenta RP.

Sprzeciwiłem się natomiast tym radykalnym głosom, które doradzały, by w ogóle nie zapraszać prezydenta Kwaśniewskiego. Dlatego urzędujący prezydent, razem z prezydentem Niemiec Romanem Herzogiem, był głównym gościem drugiej ważnej uroczystości jubileuszu – międzynarodowego Zjazdu Nowej Hanzy. Moją postawę lojalności wobec Wałęsy niektóre media okrzyknęły jako „wysoco niedojrzałą”, niektórzy przy-

równywali ją do decyzji Rady Miasta Gdańska z czerwca roku 1577, kiedy to nie wpuściła ona do miasta nowo obranego króla, Stefana Batorego.

Zależało mi bardzo, aby w ramach obchodów milenijnych mocno i wyraźnie uwypuklić wolnościowe i solidarnościowe dziedzictwo Gdańska. Byłem przekonany, że zdecydowanie zbyt słabo przypominamy i podkreślamy wobec świata, Europy i obywateli Polski rolę naszego miasta w procesie upadku komunizmu i zjednoczeniu Europy. Mijało już osiem lat niepodległości, a my tak niewiele zrobiliśmy dla pamięci.

Poszukiwałem właściwego pomysłu, radziłem się wielu osób. Ostatecznie zdecydowałem o zorganizowaniu uroczystości z udziałem najważniejszych świadków i twórców wielkiej historii, takich jak George Bush, Margaret Thatcher, Richard von Weizsäcker i oczywiście Lech Wałęsa. Miałem list polecający Lecha Wałęsę i pięć miesięcy; wspierało mnie kilka życzliwych osób. Rozpocząłem zabiegi, by zaprosić do Gdańska tych kilku wyjątkowych gości. Najtrudniejsze okazało się skoordynowanie kalendarzy tych nieprawdopodobnie zapracowanych emerytów. Jednak bez wiary w sukces nie można go odnieść. Ostatecznie 30 czerwca 1997 roku w Dworze Artusa odbyła się wielka uroczystość wręczenia honorowego obywatelstwa Gdańska George'owi Bushowi, Lechowi Wałęsie i Richardowi von Weizsäckerowi. Wszyscy zgodnie uznali to wydarzenie za najbardziej światowy punkt obchodów tysiąclecia Gdańska. Był to moment wielkiej chwały gdańskiej „Solidarności”, Lecha Wałęsę i ich roli w pokojowym zjednoczeniu Europy i przewyciężeniu komunizmu.

1984

STUDNIÓWKA W I LICEUM W GDAŃSKU, JESTEM

NA SAMEJ GÓRZE

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

W trudzie przygotowań pomógł mi bardzo Janusz Reiter, były ambasador Polski w Niemczech, mój brat Piotr i młody zdolny pracownik Urzędu Miasta, Maciej Buczkowski. Byłem nie tylko szczęśliwy, ale też pewny, że także w przyszłości należy organizować duże międzynarodowe wydarzenia, które będą rozślawiały Gdańsk i utrwały dziedzictwo „Solidarności”. To doświadczenie okazało się bardzo pomocne, kiedy już jako prezydent Gdańska przygotowywałem dwudziestą i dwudziestą piątą rocznicę powstania „Solidarności” i opracowywałem projekt budowy Europejskiego Centrum Solidarności na terenie Stoczni Gdańskiej. Będąc samorządowcem czy politykiem, warto i trzeba mieć marzenia.

Obchody tysiąclecia stały się też wyjątkową okazją do podjęcia trudnego dialogu z dawnymi mieszkańcami Gdańska. Dzięki pośrednictwu radnego Michała Górskiego spotkałem się z kierownictwem Związku Gdańszczan z Lubeki, organizacji, którą określa się mianem ziomkostwa. Było to pierwsze tego typu spotkanie od zakończenia wojny. Rozmowy były niełatwe, ale zaowocowały wspólnymi wystawami fotograficznymi, a mnie zainspirowały do gruntowniejszego zainteresowania się wspólną polsko-niemiecką historią Gdańska. Kontynuowałem te zainteresowania, między innymi organizując Światowe Zjazdy Gdańszczan i otwierając w 2002 roku Cmentarz Nieistniejących Cmentarzy.

Przywróciłem też do oficjalnego kalendarza uroczystości miejskich przypadający 28 marca dzień powrotu Gdańska do Macierzy, zwany w PRL „dniem wyzwolenia Gdańska”. Uznałem, że rok 1945 – mimo kontekstu politycznego oraz zacho-

1986

NIELEGALNE PISEMKO UCZNIÓW I LO; ZACZĘLIŚMY JE WYDAWAĆ
Z PIOTREM SARNECKIM I JAROSŁAWEM PIEŃKOWSKIM W ROKU 1984
FOT. ARCHIWUM RODZINNE

wania Armii Czerwonej wobec niemieckiej ludności cywilnej i materialnego dziedzictwa Gdańska – jest punktem zwrotnym w historii miasta. Nie można kwestionować, że Gdańsk po stu pięćdziesięciu dwóch latach ponownie znalazł się w granicach państwa polskiego. Rok 1945 symbolizuje materialną i społeczną zagładę ówczesnego miasta, ale też początek nowej ery – wygnańcy zastąpili wygnanych.

Poznając historię Gdańska, natknąłem się na opis oporu ludności i Rady Miejskiej wobec wchłonięcia Gdańska przez Fryderyka Wielkiego. Jednym z gestów sprzeciwu wobec okupacji pruskiej było zrzucenie paradnych tóg noszonych przez rajców gdańskich – oznaki godności urzędu. Nakłoniłem więc radnych, aby po raz pierwszy od 1793 roku włożyli uszyte na własny koszt togi na uroczystą sesję Rady Miasta w dniu 18 kwietnia 1997, inaugurującą jubileusz tysiąclecia. I choć jeszcze nie wszyscy radni przekonali się do tej tradycji, to gdańszczanie i turyści z dużą życzliwością witają przyodzia-nych w togi radnych.

Dopełnieniem tej swoistej rekonstrukcji gdańskiego obyczaju było ufundowanie – na moją prośbę – wspaniałego łańcucha, ozdobionego pierwszym i obecnym herbem Gdańska oraz herbem Rzeczypospolitej i Prus Królewskich, jako znaku godności przewodniczącego Rady Miasta. Wdzięczny jestem Wojciechowi Majchrzakowskiemu, ówczesnemu prezesowi Wojewódzkiego Zrzeszenia Handlu i Usług, oraz Stanisławowi Małuszkowi, prezesowi Pomorskiej Izby Rzemieślniczej, za ufundowanie tego łańcucha.

Prawdziwym wyzwaniem politycznym, przed którym stanąłem w tamtym czasie, było odwołanie przez premiera wieloletniego wojewody gdańskiego, Macieja Płażyńskiego. Współ z radnym Włodzimierzem Machczyńskim, obecnie prezesem

lotniska imienia Lecha Wałęsy, byłem pomysłodawcą i współorganizatorem wiecu w obronie Płazyńskiego. Pomysł wiecu wzbudził protest radnych SLD – grozili (zresztą nie po raz pierwszy) odwołaniem mnie z funkcji przewodniczącego i straszili „nieobliczalnymi skutkami działań wiecujących”. Na wiec przyszły tłumy, przyjechali samorządowcy z całego województwa i stoczniowcy ze Stoczni Gdańskiej. Towarzyszyło mu szerokie echo w całym kraju.

Pod koniec kadencji Rady podjęliśmy wspólnie z wiceprzewodniczącym Rady, Tadeuszem Gleinertem, decyzję o wystąpieniu do prezydenta miasta Tomasza Posadzkiego o przeznaczenie okazałego budynku przy Wałach Jagiellońskich 1 – dawnej siedziby klubu studenckiego „Żak” – na siedzibę Rady Miasta Gdańska. Po wielu wizytach w zaprzyjaźnionej hanzeatyckiej Bremie dojrzała we mnie myśl, że organ uchwałodawczy – Rada Miasta – musi być fizycznie i przestrzennie oddzielony od siedziby Prezydenta Miasta – władzy wykonawczej. Te dwie władze powinny ze sobą współpracować dla dobra Gdańska, ale mając inne zadanie i uprawnienia oraz legitymację do rządzenia, muszą obradować w innych budynkach, aby zachować pełną niezależność i godność. Do czasu przeniesienia Rady – co nastąpiło już za mojej prezydentury, w roku 2000 – obradowała ona w budynku Urzędu Miejskiego przy Nowych Ogrodach.

W czerwcu 1998 roku kończyła się kadencja Rady Miasta Gdańska, a z nią moje przewodzenie. Czułem satysfakcję ze wzmocnienia rangi Rady w opinii gdańszczyzan. Wiele zaproponowanych przeze mnie rozwiązań, poczynawszy od regulaminu uwzględniającego pojawienie się klubów partyjnych, poprzez uroczysty i godny rytuał nadawania honorowego obywatel-

stwa i medali Świętego Wojciecha oraz Księcia Mściwoja, po uporządkowanie kwestii oficjalnego herbu Gdańska, zdało próbę czasu, przetrwało kolejne kadencje Rady i zyskało społeczną akceptację. Tak rodzi się tradycja.